

Stefania Kossowska

Spowiedź

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (7-8), 253-258

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

SPOWIEDŹ

Stefania SZURLEJÓWNA (Warszawa)

Ksiądz Bronisław wyszedł wcześniej z domu. Było wpół do szóstej i upał, który od kilku tygodni spalał miasto, nie zdążył jeszcze tego dnia wybuchnąć. Leżał przyczajony, niewidoczny w czystym wilgotnym niebie, w którego niebieską przejrzystość wtapiał się powoli, coraz bledszy, coraz bardziej nikły platek księżycy. Drzewa w ciągu dnia zszarzały i zwidły, teraz po krótkiej nocy lśniły chłodnymi liśćmi, które w ciemności na nowo nabiegły zielonym sokiem.

Ksiądz zatrzymał się chwilę w małym ogródku, przylegającym do wikarówki. Jego szeroka twarz rozjaśniła się — w nocy rozkwitły dwie róże, sztywne, białe, bezwonna Frau Druschki i druga, której nazwy nie znał, ogniście różowa, kapryśna, pachnąca gorąco i gorzko, jak mocna herbata. Ksiądz delikatnie musnął palcem jedwabne płatki — trudno było uwierzyć w ten codzienny cud. Z szarej, sypkiej ziemi, z brunatnych włókien korzenia, z szorstkiej lodygi, z zielonej muszli pąka tryska nagle pod osłoną przyjaznych ciemności nocy gorący strumień barw i zapachów. Ksiądz głaskał kwiaty i uśmiechał się do nich.

Na pobliskim skwerze wrzeszczały rozbudzone ptaki, pusta ulica zakolysała się od dudnienia ciężkiego wozu. W kościele zaczęto dzwonić: pierwszy dźwięk głęboki, niski, jakby schrypnięty od długiego milczenia oderwał się od niebieskiego stropu, za nim pobiegły dalsze, coraz wyższe, coraz jaśniejsze, wesole i rześkie.

Ksiądz zszedł z klombu na ścieżkę, wytarł sutannę, zmoczoną od rosy, oczyścił ją z lepjących się trawek i grudek ziemi i z trudem otworzywszy zacinającą się wiecznie furtkę, wyszedł na ulicę. Do kościoła miał kilkadziesiąt kroków. Szedł wzdłuż ptasiego skweru nie mogąc opanować radości z powodu cudownej pogody. Za kilka godzin ten uśmiechnięty ranek zamieni się w gryzący żarem, biały, morderczy dzień. Ale tymczasem ksiądz nie umiał o tym pamiętać, myślał o nowych różach, o jedwabnym niebie, wysoko rozpiętym, i wdychał pachnące, świeże powietrze, a serce dzwoniło w nim tym samym czystym dźwiękiem, który spływał z wież kościelnych.

Przed drzwiami zakrystii stał jakiś człowiek. Zastąpił księdzu drogę.

— Przepraszam — mruknął.

Ksiądz się zatrzymał.

— Słucham pana — powiedział ciepło. Wiedział, że usłyszy jakąś prośbę. Często czekali przed zakrystią na niego ludzie, którzy pragnęli prosić go o jakąś pomoc. Tutaj mogli o swych sprawach opowiadać swobodnie, wiedząc, że ich nikt nie zobaczy, ani nie usłyszy. Ksiądz rozumiał, że nieraz trudno jest zacząć mówić, więc starał się ułatwić to

zadanie i ośmielał uśmiechem, spojrzeniem, słowem. Nie robił tego z przymusu, widok człowieka, któremu coś dolega — a tylko tacy tu się zjawiali — odwracał go od wszystkich innych myśli i rzucał, przejętego żarliwie, w zamęt cudzych trosk.

Tak samo stało się i teraz. Zachwycająca radość poranka przestała istnieć, ważny był tylko ten człowiek, który czegoś potrzebował, o coś chciał prosić.

Nieznajomy mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Nie wyróżniał się niczym — średniego wzrostu, siwawy, o pospolitych rysach. Wyrazu twarzy nadawały tylko oczy, ciemne, żywe, uważne. Ubranie miało swoją wymowę, widać, że pochodziło od dobrego krawca, ale dziś było poplamione, zmięte, wytarte. O ciężkich przejściach mówiła też zniszczona twarz, zaczerwienione powieki i drżące ręce, które nerwowo wycierał co chwile o ubranie. Milczał.

— Słucham więc pana — powtórzył ksiądz.

Drzwi od zakrystii otworzyły się i ukazał się w nich mały ministrant. Zobaczywszy księdza, cofnął się. Właśnie przestały bić dzwony i w nagłej ciszy, która zapadła po ostatnim powłóczyście dźwięku, szybko zaczął mówić nieznajomy:

— Chciałem prosić księdza wikarego, aby mnie wyspowiadał. Wczoraj przypadkiem znalazłem się w kościele, gdy ksiądz miał kazanie — to było piękne. Ja dawno nie płakałem — ale wczoraj. — Więc dlatego — ja do księdza. Do nikogo innego. Proszę mi nie odmawiać...

— Ależ panie, — zachnął się ksiądz — spowiedzi się nie odmawia, ani nie trzeba o nią księdza prosić. Wystarczy przyjść do konfesjonau. Czy pan chce, abym teraz pana wyspowiadał?

— Jeżeli można, to wołałbym popołudniu — poprosił nieznajomy. — Schylił głowę i szepnął tak cicho, że ksiądz ledwie dosłyszał:

— Spróbuję — jeszcze...

Ministrant znowu drzwi uchylił i wysunął przez nie głowę.

— O wpół do siódmej mnie pan znajdzie przed bocznym ołtarzem — powiedział ksiądz szybko i zniknął za ciężkimi drzwiami. Ubierając się do mszy, myślał jeszcze o nieznajomym, jaki niepokój, jaka klęska kazaly mu upaść na kolana przed surową kratą konfesjonau. Przypomniał sobie też krótkim błyskiem myśli, co nieznajomy mówił o wczorajszym kazaniu. Ksiądz Bronisław nie miałby dwudziestu ośmiu lat, gdyby na to wspomnienie nie uczył lekkiego zadowolenia. Ale zaraz uświadomił sobie swoją pychę, przeraził się i zatonął w modlitwie.

Mały ministrant targnął za dzwonek i wyprowadzając księdza, przestąpił próg zakrystii.

Po piekielnym dniu zmierzch stanął martwy ze znużenia i cichy. Stygły powoli kamienie, niebo za dnia białe, teraz zaczęło się różowić, zielenić, błękitnieć. Na ulice wylegli zgrzani i zmęczeni ludzie.

Gdy ksiądz Bronisław przyszedł do kościoła, nieznajomy już czekał. Klęczał przed ołtarzem, z twarzą ukrytą w dłoniach i modlił się. Gdy ujrzał księdza, westchnął, powstał z klęczek i zbliżył się do konfesjonau.

W kościele było zaledwie kilka osób. Panował tu już mrok, tylko święci, wtopieni w szklane witraże, płonęli jeszcze jasnymi ogniami. Na chórze organista uczył nowych pieśni. Urywane dźwięki organów huczały w pustym kościele i za każdym razem, gdy już przebrzmiały, odpowiadały im szklistym brzękiem dygocące świeczniki. Cienkie głosy śpiewaczek zrywały się w górę, to razem, to pojedynczo i łamały się po kilku taktach. Zakrystian układał kwiaty na wielkim ołtarzu, potem zapalił kilka świec i zniknął. Mrok ciemniał, święci na witrażach powoli bledli.

Spowiedź trwała krótko. Nieznajomy wyznał swe grzechy, powszednie grzechy, jakie każdy popełnia co dzień, wysłuchał nauki i poprosił o rozgrzeszenie. Ksiądz wyprostował się w konfesjonale i zaczął się cicho modlić. Naraz usłyszał szept:

— Proszę księdza — ja jeszcze coś muszę powiedzieć.

Ksiądz podniósł rękę ze stulą do twarzy i pochylił się znowu. Nieznajomy mówił teraz szybko, gorączkowo, jakby bał się, że coś mu przeszkodzi wypowiedzieć wszystko, jakby bał się samego siebie.

— Nie powiedziałem księdzu rzeczy najważniejszej, nie przyznałem się do grzechu, który mnie tu sprowadził, grzechu, jeszcze nie popełnionego, — który się dopiero stanie.

Urwał, dyszał gwałtownie. Ksiądz powiedział łagodnie:

— Uspokój się mój synu. Nie może ciążyć na tobie grzech, któregoś nie popełnił. A skoro zwróciłeś się z ufnością do Boga, On pomoże ci zwalczyć pokusę. Więc mów dalej, zwiierz się ze wszystkiego, co cię dręczy. Powiedz, cóż to za grzech cię kusi.

— Kusi! — powtórzył nieznajomy z goryczą. — Nie ma pokusy w tym grzechu, tylko strach. I nie ma już dla mnie od niego ratunku.

Ksiądz usłyszał jakby jęk, chwila ciszy i znowu głos, lecz zmieniony, zimny i twardy:

— Dziś w nocy odbiorę sobie życie.

Ksiądz rzucił się w tył i zaraz przypadł z powrotem twarzą do kraty.

— Opamiętaj się — wołał szeptem w ciemność. — Synu, nie wiesz chyba co mówisz, nie zastanowiłeś się nad tym. Jakże ty możesz rozporządzać tym, co jest własnością Boga. Nie wolno ci sądzić...

— Proszę księdza — przerwał sucho nieznajomy — niech mnie ksiądz nie próbuje odwieść od mego zamiaru. Nie chcę rad, chciałem tylko uzyskać przebaczenie, ale nawet, jeśli nie uzyskam...

Znowu milczał. Po chwili odezwał się ciszej:

— Niech mi ksiądz daruje te słowa, ale czasem — gdy człowiekowi źle — coś się wyrwie niechcący...

— Opowiedz, co cię gnębi. Poradzimy ci, pomożemy. — Uratujesz swoją duszę od potępienia, na które chciałeś ją skazać.

— Nie warto opowiadać — szepnął nieznajomy ze zniechęceniem. — To taka prosta historia, taka codzienna taka bez znaczenia, — gdy kogo innego dotyczy, a nie ciebie, nie ciebie, człowieku — łamiące się słowa ledwo dochodziły uszu księdza. Twarz nieznajomego była niewidoczna, jego głos wypływał z ciemności, jakby tam istniał sam dla siebie, oderwany od ludzkiego ciała.

— Chce ksiądz wiedzieć, dobrze, opowiem. Może się ksiądz zdziwi, że taka szara historia potrafi człowieka doprowadzić do dobrowolnej śmierci. Ale to trzeba samemu przeżyć, samemu w tym być. Zresztą wszystko jedno. Czy opowiem, czy nie, i tak to nie zmieni mego postanowienia. Łudziłem się, że może ksiądz potrafi zrozumieć, przebaczyć...

Ksiądz się poruszył, chciał się odezwać, ale nieznajomy go nie słuchał, mówił dalej. Głos dochodził teraz stłumiony, jakby z trudem przebijał się przez miękkie ciemności.

— Mam dziesięcioletnią córeczkę. Jedyną. Żonę i syna straciłem rok temu, prawie jednocześnie. Od kilku miesięcy córeczka zaczęła mi chorować. Leczyłem ją wszystkimi środkami, jakimi rozporządzałem, chodziłem z nią do wszystkich lekarzy w naszym mieście. Bo ja nie jestem tutejszy — zapomniałem księdzu powiedzieć, choć właściwie to nie ma znaczenia. Córeczka cierpiała na jakąś dziwną chorobę, wciąż wywiązywały się nowe komplikacje. Robilem co mogłem, aby ją ratować. Miałem dobrą posadę, ale i tak musiałem się zadłużyć. Myślałem sobie — będę oszczędzał, będę ograniczał swoje potrzeby, każdego miesiąca coś odłożę, a pospłacam długi. Była ona była zdrowa. Tymczasem...

Głos urwał się. Ksiądz, w fiołkowym cieniu stuly kryjąc twarz milczał.

— Tymczasem — miesiąc temu straciłem posadę. Nie ja jeden, nie pierwszy, nie ostatni, wiem. Ale moja chora córeczka!... I właśnie wtedy, coś dwa dni po otrzymaniu wymówienia, dowiedziałem się, że grozi jej ślepotą. Tylko operacja i długie leczenie może ją uratować.

Pieniądzy, pieniędzy, pieniędzy — myślałem teraz od rana do wieczora i od wieczora do świtu. Szukałem pracy, ale obok mnie szukał jej tłum innych. Nic, nigdzie, znikąd żadnej nadziei. Chodziłem do szpitala błagać, aby ją leczyli bez pieniędzy. Powiedzieli mi, że każdy by tego chciał. Kiedy indziej usłyszałem, że gdyby moje dziecko było sierotą, to mogłoby jeszcze liczyć na to, że ktoś tam jakaś instytucja za nie zapłaci. I wtedy — wtedy pierwszy raz pomyślałem o tym — ksiądz wie... Córeczce było coraz gorzej. Co za dni, co za piekielne dni przeżyłem. I naraz zabłysła mi nadzieja. Spotkałem nieznanego, który kilka lat temu przeniósł się z naszego miasta tutaj i tu mu się zaczęło bardzo dobrze powodzić. Przyjechał do krewnych, i dowiedziawszy się w jakim znajduję się położeniu, obiecał mi pomoc.

— Niech pan tylko przyjedzie, a znajdę coś dla pana.

— Dziś widzę, że mówił to po to, aby dawnym znajomym zaimponować swymi stosunkami w wielkim mieście. Ale wtedy wierzyłem mu, tak przecież chciałem wierzyć! Zresztą, tak mnie przekonywał, tak obiecywał, mówił z taką pewnością siebie...

Nie miałem na drogę. Poszedłem do jednego znajomego, który pracuje na poczcie. Zaczęliśmy rozmawiać. Urzędowanie właśnie się skończyło i mój znajomy układał sterty 100- i 50- złotówek. Odwrócił się na chwilę, skorzystałem z tego i szybko schowałem do kieszeni jedną pięćdziesiątkę. Nie spostrzegł się, mnie na pewno nie będzie podejrzewał, znał mnie od tak dawna, pomyśli, że ktoś go oszukał przy wpłacie. Gdy znajdę pracę — myślałem — odeślę mu ten dług anonimowo. Zostawiłem część pieniędzy pewnej kobiecie, która wzięła do siebie moją córeczkę, a sam tu przyjechałem.

Dziś mija tydzień, odkąd jestem w tym strasznym mieście. Mój znajomy mnie oszukał, nie chciał nawet ze mną mówić, kazał mnie z biura wyrzucić. Chodziłem od jednych do drugich, prosiłem, zebrałem o jakiś zarobek. Śmiali się ze mnie, albo mnie nawet słuchać nie chcieli. Od czterech dni nic nie jadłem. Wczoraj postanowiłem — jeszcze dzień jeden poczekam. Dlatego nie wypowiadałem się dziś rano, chciałem w ostatnim dniu jeszcze spróbować, jeszcze ostatnią szansę wykorzystać. Ale dzisiejszy dzień był taki sam, jak i wszystkie poprzednie. I tylko tym się różni, że po nim nie przyjdą już następne...

Nie ma dla mnie wyjścia, to jest jedyne. Nie mogę wrócić do miasta, gdzie czekają na mnie z każdym dniem ciemniejsze oczy mojego dziecka, któremu nie mogę pomóc, gdzie okradziony przeze mnie biedak byłby dla mnie wiecznym wyrzutem. A nawet gdybym chciał tam wrócić. — Mój Boże, od kilku dni nie mam na kawałek chleba...

Może nad moją córeczką, gdy będzie sierotą, prędeej zlitują się ludzie. Nie ma dla mnie wyboru. To jest jedyna rzecz, którą może choć trochę pomogę memu biednemu dziecku.

Dziewczęta na chórze przestały śpiewać. Teraz grzmiały same organy. Strugi wibrujących srebrnie dźwięków spływały w dół, toczyły się przez kościół, dzwoniły o szklane szyby, o świergotliwe świeczniki.

— Synu, synu — wołał ksiądz w uniesieniu — jakże ty, grzeszny człowiek, odważasz się zmieniać Boskie wyroki? Twoja dusza ma przed sobą drogi, które Bóg dla niej naznaczył. Czy zdajesz sobie sprawę, że jednym czynem, od którego już nie ma odwrotu, bo martwego ciała nie wskrzesisz, decydujesz o losach swej duszy na całą wieczność? Pamiętasz tylko o swych doczesnych cierpieniach — straciłeś ufność w moc Bożą, zważyłeś o Bożym miłosierdziu...

Ksiądz walczył. Przekonywał, tłumaczył, błagał. Zamierzał z grozy na myśl, że może coś zaniedbać, o czymś zapomnieć, coś najważniejszego przeoczyć. Wzywał na pomoc

moce niebieskie, aby użyczyły siły jego słowom. Gorzał żarliwym uniesieniem i modlił się, aby płomień łaski spadł na tamtą głowę, pochyloną ku ziemi.

Nie ustawał w walce. Złote anioły oderwały się od ołtarzy i w chrzeście skrzydeł biegły mu na pomoc, święci na ciemnych obrazach podnosili umęczone oczy i modlili się za nim, grzmiąca muzyka kłębiła się nad jego głową chmurami, dymem, kadzidłem. Organy wciąż grały.

Ksiądz umilkł. Nieznajomy przywarł twarzą do samej kraty. W wyciętych otworach majaczyły jego oczy, zalane łzami, wilgotne policzki.

— Więc co mam robić, co mam robić — szlochał głośno.

Ksiądz poczuł się naraz straszliwie znudzony i wyczerpany. Szepnął:

— Módl się, najpierw się módl, proś Boga o przebaczenie. Nie trać ufności, Bóg cię nie opuści.

Po skończonej spowiedzi ksiądz wyszedł z konfesjonału i pochylił się nad łkającym wciąż mężczyzną.

— Czekam na pana przed zakrystią — powiedział półgłosem.

Wyszedł na powietrze i oparł się o chłodny mur kościoła. Wciąż jeszcze było gorąco. Niebo lekkie i fiołkowe wzbilo się wysoko i spoglądało w dół złotymi źrenicami. Na bliskim skwerze kwitła rezeda, jej słodkawy zapach pelzł nad ziemią, i przy każdym powiewie wznosił się w górę lekką falą.

Ksiądz, przymknąwszy oczy wdychał w siebie słodycz wieczoru. Naraz drgnął. Nieznajomy stał obok. Jego zmięta twarz znów rozogniła serce księdza.

— Niech pan teraz wraca do siebie i odda ten najważniejszy ostatni dług — powiedział i wcisnął coś w rękę mężczyzny. — To wszystko co mam — szepnął jakby z usprawiedliwieniem. — Ale będę dla pana szukał pracy i jestem pewien, że coś znajdę. Są jeszcze dobrzy ludzie na świecie — oni panu pomogą. Postaramy się też, aby pana córeczkę wyleczyć za darmo. Co tylko będę mógł, zrobię. Niech się pan nie martwi, niech pan porzuci złe myśli, Bóg niech ma pana w swej opiece.

Nieznajomy był tak roztrzęsiony, że nawet nie podziękował księdzu za pomoc, widać było, że drży z niecierpliwości, aby już odejść, aby rozpocząć znowu życie. Ksiądz go nie zatrzymywał, pożegnał się i ruszył w stronę domu. Naraz zatrzymał się gwałtownie, przypomniał sobie, że przecież nie znał nazwiska, ani adresu nieznajomego i nie będzie mu mógł dać znać, gdy coś dla niego znajdzie. Chciał zawrócić, zawołać obejrzał się, ale tamten musiał już być daleko.

— Gdy nie będzie mieć ode mnie wiadomości, sam się zgłosi — uspokoił się w myśli. I pchnął zacinającą się furtkę swego ogródka.

Długo jeszcze chodził tego wieczoru wśród małych grządek, po wąskich ścieżkach i modlił się. Dziękował za łaskę, jaka go dziś spotkała, za to, że dane mu było uratować tę ginącą duszę. Modlił się za tamtego człowieka. I wznosił pokorne oczy w górę, do chłodnych, ostrych gwiazd.

Nieznajomy się nie zgłaszał. Ksiądz Bronisław szukał dla niego pracy i starał się o umieszczenie chorej dziewczynki w szpitalu, ale trudno było te sprawy ostatecznie załatwić, nie znając nazwiska. Wyrzucał sobie ksiądz, że nie pamiętał wtedy o to zapytać, bał się, że takie zaniedbanie może znowu sprowadzić nieszczęśliwego na złą drogę. Ale nie miał żadnej wskazówki do odnalezienia tamtego człowieka. Nie było rady. Można było tylko czekać.

Upały minęły, panowała teraz słoneczna, przewiewna pogoda. Ksiądz Bronisław szedł ulicą w towarzystwie swego przyjaciela i kolegi z seminarium, księdza Gracjana.

Widywali się rzadko, bo ksiądz Gracjan był wikarym w odległej części miasta i obaj byli całymi dniami zajęci. Toteż korzystali z przypadkowego spotkania, szli kawalek drogi razem i rozmawiali.

Ksiądz Gracjan coś żywo mówił, naraz przerwał i chwycił przyjaciela za rękę.

— Przyjrzyj się dobrze temu człowiekowi w jasnym ubraniu, który idzie naprzeciwko nas. Opowiem ci o nim ciekawą historię, która cię nauczy, że...

Ale ksiądz Bronisław nie słuchał. Z rozjaśnioną twarzą biegł na spotkanie nieznanego pana. Co za szczęśliwy przypadek! Tak, to był tamten „nieznajomy”. Ale jakże inny — odmlodzony, porządnie ubrany, zadowolony. Szedł brzegiem chodnika i patrzył w bok na jezdnię. Naraz odwrócił głowę i jego oczy spotkały się z uśmiechniętym spojrzeniem księdza. Jednym ruchem wykręcił się na pięcie, skoczył na jezdnię i zniknął wśród stłoczonych samochodów i tramwajów.

Do osłupiałego księdza Bronisława podszedł ksiądz Gracjan.

— Dziwi cię, że uciekł przed tobą? Widzę, że cię już nie zainteresuje moja „ciekawa historia” o ciężko chorej córeczce, o utracie posady, o strasznym położeniu, bo ją niezawodnie sam znasz. Za późno wybrałem się z tym opowiadaniem, aby cię ostrzec.

— Znasz go? — spytał cicho ksiądz Bronisław.

— Czy go znam! Tak samo jak ty i jak kilkunastu innych księży w mieście, których w jednaki sposób oszukał. To najcyniczniejszy oszust o jakim słyszałem. I mistrz w swoim fachu. Opracował swoją rolę do najdrobniejszych szczegółów — mogłeś to zresztą sam ocenić, — nauczył się jej na pamięć i dlatego nie popełnia błędów. Jego największy spryt polega na tym, że wybrał księży na swoje ofiary. Wie, że ksiądz w konfesjonale jest jedyną osobą, która musi mu wierzyć. Każdy inny może się bronić nieufnością przed oszustwem. Tylko nie ksiądz. Więc w niego uderza. Szantażuje go swym samobójstwem, każe walczyć o duszę, gdy tymczasem chodzi tu tylko o większą lub mniejszą sumkę, jaką uda mu się z księdza, poruszonego jego wyznaniem wydobyc. Oczywiście całe jego opowiadanie jest od początku do końca zmyślane. Jeden proboszcz dowiedział się o nim kilku szczegółów. To człowiek, który nigdzie z tego miasta nie wyjeżdżał, kawaler, lubi się wesoło bawić, a specjalnie interesuje go gra na wyścigach. Zdaje się, że dawniej był czymś lepszym. Z tamtych czasów została mu tylko znajomość psychologii — gorzko zakończył ksiądz Gracjan i rzucił krótkie spojrzenie z boku na twarz idącego obok przyjaciela.

Ujrzał zwrócone na siebie oczy, dziwnie rozpromienione, pełne jakiejś wzruszonej radości i zwykły uśmiech na szerokiej twarzy.

Aż się zatrzymał. Nie rozumiał.

— Z czego ty się znów cieszysz? — zapytał trochę niecierpliwie.

Ale ksiądz Bronisław już mówił, gorąco i wesoło, machając gwałtownie rękami, jak zawsze w chwilach podniecenia.

No bo pomyśl tylko, mój drogi, co to za szczęście, że cała ta okropna historia istniała tylko w czyjejs wyobraźni. I że nikt naprawdę nie cierpiał.

— Oczywiście, oczywiście — przytaknął lekko ksiądz Gracjan. — A jeżeli chodzi o to zastępstwo, o którym ci przedtem mówiłem, to...

Powrócili do przerwanej rozmowy.

„Prosto z mostu” 1937 nr 2(110).